DEPUTACJA SANDOMIERSKA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez Juljana Bartoszewicza.

Na tak zwanéj podówczas Miodowéj przecznicy, zaraz za pałacem biskupów krakowskich, który tylko co dźwigał się wspaniale z ruin po niedawnéj wojnie szwedzkiéj, przed kamienicą firlejowską, stał już od niejakiego czasu powóz zdobny piękną rzeźbą i złoceniami, zaprzężony w sześć dziarskich koni. Na koźle, który okrywał czaprak, siedział stangret, chłop ogromny, kordjaczny; co widać było z twarzy i z ogromnych wąsów; ciekawie rozglądał się w około, widać że nie bywał nigdy w stolicy, jakoż i strój jego pół chłopski pół dworski i kozaczy, pokazywał, że nie nad Wisłą leżały jego rodzinne okolice. Za stangretem stał węgrzynek. Około powozu kręcił się na pięknym bułanym koniu młody dworzanin i czekał na pana swego, który miał wyjść z kamienicy i wsiadać.



Referendarz ksiądz Jan Małachowski i podkomorzy Chrapowicki.

Wyszedł wreszcie z bramy mąż poważnéj postaci, lat około pięćdziesięciu, ubrany wspaniale po polsku, w żupanie białym atłasowym, na którym błyszczał pięknie pas lity pozłocisty, w kontuszu ciemnobłękitnym i kiedy węgrzynek zeskakiwał z kozła, żeby otworzyć przed panem drzwiczki powozu, ów mąż odezwał się do dworzanina, który natychmiast przyskoczył:

— I gdzież jest tedy król jegomość? czy w zamku?

— Nie, miłościwy panie, ale w pałacu na przedmieściu.

— A dowiedziałeś się kto teraz bawi przy nim?

— Ksiądz referendarz koronny.

— To dobrze, a kiedy tak, jedźże przodem mój Ukolski, bo zamek stąd widzim, ale pałacu nie widać, i mój Hawryło nie wiedziałby inaczéj jak się ma ruszyć w Warszawie; oczarowało go miasto.

Powóz ruszył z miejsca i Ukolski prowadził Hawryłę. Za pałacem biskupów krakowskich zakręcili na lewo ku zamkowi. Minąwszy krakowską bramę i posąg króla Zygmunta, skierowali się na Przedmieście, które się długą ulicą ciągnęło wśród ogrodów, wpołowie zabudowane ogromnemi pałacami lub dworkami, w połowie puste. Chyba te wspaniałe pałace porzucone jak brylanty w piasku i te świątynie pańskie, oczarowały Hawryłę, bo zresztą któżby mógł poznać po tém przedmieściu, że znajduje się w stolicy ogromnego kraju? Ulica była bez bruku, pełno po niéj dołów i wybojów, tak, że powóz częściéj utykał jak na gościńcu porządnie utrzymywanym; prawda, że wszędzie obok prostoty i ubóstwa, mieścił się największy przepych i bogactwo. Więc naprzód uderzał oczy przejeżdżającego ogromny gmach zamkowy, mieszkanie królów, schowany poza nieforemnemi zabudowaniami bramy krakowskiéj i klasztorem bernardynek. Tuż obok innego kościoła bernardynów wznosił się pałac Kazanowskich, którego piękna

budowa ledwie dawała poznać wspaniałości ozdabiające wewnętrzny strój komnat pańskich sławionych przez cudzoziemców nawet, w Europie. Poza pałacem kościół Karmelitów założony przez Cecylję Renatę, dotykał szeroko zabudowanego pałacu Koniecpolskich, już wnuków hetmana. Za tym pałacem nowy kościół panien francuzkich Wizytek. Hawryło nie widział nawet w Wilnie, w którém często z panem swoim bywał, takiéj liczby pałaców obok kościołów i kościołów obok pałaców, bo gdy tamte szły po jednéj stronie przedmieścia po drugiéj nieustającym prawie rzędem ciągnęły się dworki i dwory większe i mniejsze, chociaż już rzadziéj pałace Gosiewskich i Gostomskich, pana Radziejowskiego i pana marszałka Sobieskiego.

Za wizytkowskim kościołem Ukolski zawrócił na lewo i wkrótce poza rzędem stajen, co widać było po koniach, które do nich prowadzono, przed oczami Hawryły ukazał się nowy pałac pół drewniany, pół murowany, wsunięty w głąb ulicy i dla tego samotny, wśród ogromnych drzew i zieloności, na samym już brzegu wzgórza, które się nad Wisłą wznosiło. I w oddaleniu otaczały ten gmach na obiedwie strony różne zabudowania drewniane. Wszystko to miało powierzchowność czysto wiejską, a sam gmach wyglądał jakby na letnie pomieszkanie zamożnego pana, tak wśród wrzawy wielkiego grodu, panowała tutaj spokojność na prawdziwém ustroniu. I w istocie zdaje się, że po za tym ostatnim pałacem kończyło się samo przedmieście stolicy. Mały kościołek drewniany św. Krzyża stał na prawo o kilkaset kroków, a po zanim już nigdzie nie było widać żadnego pałacu tylko dworek gdzie nie gdzie się ukazywał na łanach czystego pola.

Życia jednakże było tutaj wiele pomimo spokojności. Na obszernym placu rozłożyło się kilkaset piechoty z wybrańców, chorąży dawał znak żołnierzom i niemiecką komendą do nich przemawiał, a włościankowie polscy muszkietami robili. Owdzie służby stajennéj migały się różne stroje. Około kuchni, która stała na boku, także ruch niemały. Pachołkowie i dworzanie kręcili się w różnych kierunkach; jedni się przyglądali żołnierzom, drudzy gwarzyli spotkawszy się z sobą, inni znowu pokazywali, że są nadzwyczaj zajęci, biegając w różne strony. Wśród takiéj powszechnéj bieganiny było jednak tu cicho, bo na niezmiernym placu pałacowym ginął wszelki odgłos i wrzawa.

Powóz zatrzymał się w pewnéj odległości za bramą, obok miejsca na którém ćwiczyli się żołnierze. Wysiadł tedy ów mąż poważnéj postaci i szybkim krokiem ruszył pod kolumnadę pałacową, która na przestrzał prowadziła do ogrodu. Widać znał dobrze rozkład wewnętrzny pałacu, bo poszedł na wielkie wschody, z piérwszego piętra zawrócił do framugi, w któréj schowane były mniejsze schodki, prowadzące jeszcze wyżéj. Znali go i dworzanie w pałacu, bo na spotkaniu ten i ów uchylał przed nim czapki, nie jeden schylał się do kolan witając. Na drugiém piętrze gość zapukał do małych drzwi, które mu natychmiast otworzono.

— Czy jest u siebie teraz ksiądz referendarz koronny? zapytał dworzanina, który mu się ukazał.

— Tylko co ze mszy wrócił od św. Krzyża.

— Więc pójdę go nawiedzę; najlepsza będzie chwila ku temu, żeby ważnym pracom jegomości nie przeszkodzić.

I to mówiąc, wszedł do następnéj komnaty obszernéj, ubranéj wytwornie i przeznaczonéj przez ks. referendarza do przyjmowania gości. Za nią była mniejsza izdebka, po któréj szerokiemi krokami chodził wysokiego wzrostu mężczyzna w sukni kapłańskiéj, siwy jak gołąbek, pomimo tego, że twarz jeszcze zdrowa i rumiana nie pokazywała na sobie śladów starości. Właśnie tylko co odmierzywszy krokami całą izbę, zawracał się od okna, które w ścianie świeciło ku drzwiom, kiedy gość się ukazał.

Żywy jak ogień ks. referendarz, bo on sam to był i szerokiemi krokami po swojéj rozchodził się komnacie, dla słabego wzroku nie mógł w pewném oddaleniu poznać kto go nawiedzał i dla tego poskoczył naprzeciw wchodzącego. Na twarzy jego zagrała radość, zadziwienie, szczęście; widocznie gość mu był po sercu. Roztworzył ręce, co także odpłacił mu wzajemnością przybyły i obadwaj uściskali się jakby dwaj bracia.

— Szczęśliwy dzień, szczęśliwy dzień, mój kochany podkomorzy, w którym cię tutaj powitać możemy! Skądże tak nagle? niespodziewanie? Kogo, kogo, ale ciebie nigdyśmy tutaj i w téj chwili nie spodziewali się widzieć! Jest ci to wprawdzie kawał czasu jakeś wyjechał na Litwę, ale wybierałeś się tak zajęty, tak niecierpliwy, że cię nieoczekiwano nawet tak prędko z powrotem. I również wiemy, że cię tam ważne pociągały sprawy majątkowe i familijne, trybunał, ziemstwo, układy na granicach. Tem ci z większą radością cię witamy, drogi, pożądany gościu!

— Oto i widzicie księże referendarzu, znowu zatęskniłem do was, ale bo też ścisnęło mi się serce na te straszne wieści, jakieśmy z tych tu stron waszych odebrali na Litwie. Co za zmiana! ten cios tak ogromny!

— Chcieliście własnemi oczami widzieć ten smutny nasz upadek? O, zmiany tu wielkie rzeczywiście i zanosi się na burzliwą przyszłość.

— No i cóż przecie? król jegomość?

— Król smutny, ponury, zmęczony i życiem i panowaniem. Unika ludzi, nie chce prawie widzieć dziennego światła, rzadko kogo do siebie przypuszcza, ale za to około niego rozstawiono sieć intryg....

— Więc go opuścił' nawet ksiądz podkanclerzy, bo słyszę że go niema tutaj w Warszawie.

— Ksiądz Olszowski zawsze jest prawą ręką królewską, pan mu wierzy, rad z nim przestaje, ale ksiądz Olszowski jest dobrym biskupem, stęsknił się do owieczek i dyecezji, wyprosił się prawie gwałtem, bośmy go tutaj wszyscy zatrzymywali; król, że bez niego nie może się obejść i ja także łączyłem moje prośby do królewskich, bo przeczuwało smutne rzeczy serce moje, a obawiałem się całą odpowiedzialność ściągać na siebie. Nic nie pomogło, nie uprosilibyśmy księdza podkanclerzego, który przy wielkich zaletach swoich jest niemiłosiernie uparty. Odbieramy częste od niego listy, z całą gorliwością zwiedza kościoły, myśli nawet o złożeniu synodu dyecezjalnego, jakby umyślnie na złość nam, którzy go niecierpliwie tu wyczekujemy.

— Toście sami przy panu zostali, księże referendarzu?

— Tą razą sam i Bogu serdecznie dziękuję, że mi w szanownym a drogim podkomorzym zsyła pożądaną pomoc. O! bo powtarzam wam panie Chrapowicki, nigdy w stosowniejszéj, właściwszéj chwili nie mogliście przyjechać. Wszak wiécie jaki wasz wpływ nad sercem królewskim.

— Łaska to pańska więcéj, jak moje zasługi, odparł Chrapowicki.

— Nie wchodźmy w to, mój podkomorzy, odparł żywo ks. referendarz, co wpływ daje ci na dworze. Niech sobie będzie co chce; poczciwi ludzie powiedzą że zasługa, ty powiesz że tylko łaska, niech sobie to będzie, ale nie zaprzeczysz tego, że cię słuchają, że ci tutaj wierzą i sprawiedliwie, boś nigdy nie zawiódł serca, które ci się oddało, a radziłeś dobrze. Nie oglądając się na własne widoki, mówiłeś zawsze tak jak przekonanie, jak sumienie ci kazało. Charakter! charakter, mój podkomorzy, oto czego brakuje dzisiejszym ludziom, otaczającym naszego nieszczęśliwego pana. Każdy sobą tylko wyłącznie zajęty, wszystko do siebie przymierza i o rzeczy powszechnéj, o smutnéj rzeczywistości, o smutniejszéj przyszłości, nikt nie myśli. Otóż od czasu twego ostatniego wyjazdu z Warszawy, te straszne wieści, o których wspomniałeś, ta śmierć prawie niespodziewana, otworzyły przed nami przepaść i wykryło się to, co przeczuwali wszyscy rozumniejsi, że nastąpi. Król jest zupełnie bezwładny, o sobie samym myśleć nie umie, cóż dopiéro o Rzpltéj? I oto w takiéj chwili podwojono zabiegów, poruszono wszystkie sprężyny, żeby ojczyznę poprowadzić tam, dokąd iść sama nie chce. Rozprzęga się wszystko, aż serce boli patrzeć....

— Książe prymas zapewne....

— A któżby, mój podkomorzy, jak nie on? Korzystając z chwili, prymas chce opanować chociażby przemocą umysł królewski. Rządzi w zamku, rządzi i tu w pałacu. Król przed nim się chroni, ucieka z jednego mieszkania do drugiego, ale ks. Prażmowski wszędzie panem u siebie; narzuca się, bo wie, że dla niego pole nastało, i mam mocne przeczucie że nas wielkie z tego powodu czekają nieszczęścia. Jak miarkuję, ks. Prażmowskiemu chce się być co najprędzéj prymasem w czasie bezkrólewia i bodaj czy nie gotuje nam tego w zapamiętałości swojéj, czegośmy jeszcze nigdy nie widzieli! Wszelkiemi sposobami zraża króla od tronu, intrygi elekcyjne, jak widzisz podkomorzy, nie upadły. Owszem, rozwijają się potężnie, ale w ciszy, w jednéj głowie, która uparła się na to, żeby iść naprzeciw Rzpltéj i francuz zobaczysz, nie d'Enghien, to Longueville zmartwychwstanie, aby nas więcéj poróżnić. Prymas sam chce być zwycięzcą i dlatego żeby żadnych wpływów nie dopuścić do króla, powziął zamiar osadzenia swego brata tutaj. Pod pozorem, że nad służbą i dworem pańskim niema należytego dozoru, chciał nam tutaj narzucić pana chorążego na ochmistrza czy marszałka dworu, jak sam nazywał. Wtedyby nawet i echo z powietrza niedoleciało do króla.

— No i cóż, nie udało się?

— Trzeba było całéj niechęci, jaką pan nasz ma do Prażmowskich, żeby się zdobył na dziwną energję i prośby prymasowskie odrzucił. I w ogólności nie można powiedzieć, żeby co wielkiego zdobyła na téj drodze intryga, ale, mój kochany podkomorzy, lękam się o przyszłość, może bardzo bliską, bo prymas bardzo obrotny i nic go nie wstrzyma od kroków stanowczych, jeżeli już plan sobie ułożył.

— Więc król mu niechętny? Zdawało mi się jednak, że dawniéj mile go słuchał?

— Nigdy! nigdy! mój podkomorzy i tą razą nasza wygrana. Król miał do niego wstręt zawsze, ale hamował się ciągle przez wzgląd na królowę, u któréj wiadomo czém był ks. Prażmowski. Pan nasz za szlachetny jest, żeby się zniżał do niecnych zabiegów, żeby ciągle chciał żyć w plotkach i chyrchlach niewieścich. Poddawał się, bo był, bo jest słaby, cóż ci to tłomaczyć mój podkomorzy? Ale ujrzał wreszcie prawdę, miarkuje do czego prowadziły te usiłowania, którym zapobiedz nie mógł. Przecież znasz króla, mój podkomorzy, tak dobrze jak i ja. Każdy krok jego, którym się naraził osobom i Rzpltéj, był w niego wmówiony, serce pańskie tam nic nie zgrzeszyło, ale przyzwyczaił się do tego żeby za niego myśleli i pracowali drudzy. To też okropnie dziś podupadł, kiedy stracił przyjaciela. Przy boleści, jakiéj ztąd doznał, królowi teraz strasznie ta myśl dokucza, że stoi osamotniony; że te wojny Lubomirskiego odebrały mu serce szlachty. Mój Boże! a rozpoczynał tak świetnie swój królewski zawód! Najdzielniejszy, najwięcéj poświęcony hetman w wojnach kozaczych, najsilniejsza dłoń w Rzpltéj! Wtedy nadzieja ojczyzny, mąż o-

patrzności, około którego zgromadzała się cała szlachta pod chorągwiami pospolitych ruszeń, dzisiaj opuszczony, bo winą doradzców swoich postawił się na fałszywém stanowisku względem narodu.

Zamyślił się podkomorzy na te słowa. Wreszcie po chwili westchnąwszy, odezwał się ze smutnym uśmiechem:

— A idąc tu do was, myślałem, że nic się nie zmieniło, że po dawnemu tu wszystko. I ten sam exercerunek wojskowy i ta krętanina po waszym dziedzińcu ludzi, niby to czemś zajętych, a w istocie zapewne czas trwoniących, wszystko to jak było dawniéj.

— Tak, na pozór wiele tu życia na tym dworze i w pałacu, ale dawniéj podnosiła to wszystko okazałość majestatu królewskiego, jedna silna wola utrzymywała porządek. Dzisiaj rozprzęgło się na dworze jak i w Rzpltéj; to téż, dodał po chwili znowu ze smutnym uśmiechem ks. referendarz, to téż książe prymas chciał nam dać tutaj ochmistrzem dla ładu pana chorążego nadwornego....

Jakiś czas milczeli obadwaj przyjaciele. Po chwili ks. referendarz odezwał się:

— Po co tak smutno, mój podkomorzy? Rozweselcie się, jeszczeż to nie wszystko stracone. Będziem zabiegali złemu jak można, w Bogu nadzieja! Teraz myślę o tém, żeby cię jak najprędzéj zaprowadzić do króla i tobie i jemu nie chcę robić téj przykrości, żebyście się nie widzieli, żeby pan nie wiedział o twojém przybyciu, kiedy to wszystko zaraz zrobić się może. Wszak prawda? Chcecież się rozmówić z królem? Albo może przejazdem tylko bawicie w Warszawie?

— Przyjechałem tutaj umyślnie; wprawdzie ofiarowałem się na pielgrzymkę do Jasnéj Góry dla dorocznego nabożeństwa, które u siebie obchodzę, ale teraz umyślnie u stóp Najświętszéj Królowej naszéj postanowiłem się pomodlić, żeby was nawiedzić.

— To dobrze, to dobrze, mój podkomorzy; ale o jakiémże to wspominacie nabożeństwie?

— Ha! prawda, niewiecie jeszcze tego ks. referendarzu, odrzekł Chrapowicki. Kalwinem się urodziłem, w podróży włoskiéj przed laty przejrzałem za łaską bożą i powróciłem do kościoła świętego. Corocznie dzień ten obchodzę u siebie nabożeństwem z całą rodziną. Myślałem, że po staremu na ziemi ojców przepędzę ten dzień wielkiéj pamiątki, ale kiedym się dowiedział o waszém tu zmartwieniu, niewytrzymałem i postanowiłem sam jeden wymodlić się tu na Jasnéj Górze, wezmę ztąd mego wyrostka i wrócę do was.

— O! zacny mężu, zawołał z radością referendarz, gdybyśmy tobie podobnych więcéj mieli!

I uściskali się znowu obadwaj przyjaciele.

— I kiedyż to ten dzień doroczny twojéj pamiątki, kochany podkomorzy? zapytał gospodarz.

— Na szkaplerz.

— Za tydzień?

— Tak za tydzień.

— To zaraz wyjedziesz?

— Za trzy, cztery dni najwięcéj ...

— I króla nie chcesz teraz widzieć, tylko za powrotem?

— Owszem, księże referendarzu, chcę widzieć dobrego pana i pocieszyć go, jeżeli potrafię, uciekam się o to z ochotą do waszego pośrednictwa, a zresztą o wyrostka mego wypada mi króla prosić, dworzaninem jest i nie odemnie zależy. Teraz, rzecz piérwsza, zobaczyć króla...

— O téj porze król się jeszcze modli; chociaż zawsze pobożny, dzisiaj więcéj jak w innych czasach myśli o Bogu. Pozwolimy mu jeszcze z godzinę samotności; czasu nie stracim, bo musicie mnie wprzódy wziąść na śledztwo, żebyście wiedzieli, co się tu u nas dzieje, trzeba wejść w okoliczności, w szczegóły, żeby dobrze rozpoznać to nowe położenie rzeczy. I wam podkomorzy lepiéj z tém będzie, skoro przygotujecie się należycie do rozmowy z królem. Trzeba wiedzieć jakie wpływy zwalczać, z jakiemi trudnościami spotykać się przyjdzie. Chwilka tylko, mój podkomorzy, pozwolicież?

— Jestem zupełnie na usługi i rozkazy wasze, księże referendarzu.

Wtém weszło dworzan kilku do komnaty jeden przyniósł polewkę winną, drugi owoce i różne przysmaki; zastawili stół do śniadania, na które właśnie powróciwszy ze mszy oczekiwał ks. referendarz. Nasi dobrzy znajomi, zasiedli do skromnéj uczty i rozmawiali daléj o ostatnich wypadkach. Obadwaj zasłużeni dworowi, żyli sumieniem a prawdą. Gościem był Jan Antoni Chrapowicki, podkomorzy smoleński, gospodarzem ks. Jan Małachowski. Znajomość ich nie sięgała lat wielu, ale byli z sobą obadwaj w bardzo dobrych stosunkach, bo jeden mieli sposób myślenia, bo zarówno kochali ojczyznę, nie żałowali dla niéj pracy, krwi i majątku, o własne wyniesienie się nie troszczyli, szli zawsze za głosem powinności. Chrapowicki oddawna był królowi znajomy, usłużył mu w niejednéj potrzebie, stronę jego trzymał, godził zawsze, spory jakie wynikły pomiędzy Janem Kazimierzem a Rzpltą. Chociaż marszałkiem bywał na sejmach, o krzesło senatorskie nie prosił, nie wyciągał ręki po królewszczyzny; miał dosyć, powiadał, fortuny ojczystéj dla wychowania dzieci na służbę Bożą i Rzpltéj, chociaż rzeczywiście nadrabiał tylko dobrym rządem i zabiegłą gospodarnością w dobrach, bo inaczéj nie wystarczyłby na utrzymanie ogromnego domu, składającego się z kilkonaściorga dzieci. Miał też bardzo liczne rodzeństwo, braci, siostry zamężne, bliższych i dalszych krewnych i niejednego z nich, jako zamożniejszy, musiał wspierać. Wzięty u swoich, mógłby narzucić się Rzpltéj, prawa pisać

po sejmikach, targować się z królem, jak to robili inni ludzie, zuchwali a pyszni. Chrapowicki znał swoją potęgę, a przecie używał jéj tylko na powszechne dobro i żadne widoki osobiste nie zakłócały pogody jego serca. Spółobywatelom to swoim był winien w województwie, że go wybrali podkomorzym smoleńskim, ale za to napróżno szlachta trzech innych województw nalegała na Chrapowickiego, żeby dla brata rodzonego wyrobił chorąż-two witebskie. Nie mógł się złamać, żeby poprosić o urząd; ten też nie przynosił żadnych dochodów, dawał tylko poważne miejsce w jedném województwie. Owszem synów swoich poświęcał dla usługi królowi na pokojach. Jednego po drugim posyłał do akademji krakowskiéj, a potém oddawał na dwór tak, że mówiono o nim: „pan Chrapowicki urządził koléj ze swoich wyrostków.“ Starszy niedługo popasał na dworze i potém zalecony marszałkowi Sobieskiemu, wszedł do koronnego wojska. Teraz bawił na dworze drugi syn podkomorzego Krzysztof i o nim to właśnie wspominał ojciec w rozmowie z ks. referendarzem. Miał podkomorzy i córkę u panien francuzek wizytek w Warszawie; królowa Marja-Ludwika wzięła ją na swoją porękę i kochała to dziecko.

Ksiądz Małachowski zaś dopiéro od lat czterech, pięciu, bawił na dworze, to jest od czasu owego sławnego poznania się z nim w Kozienicach za rokoszu Świderskiego (1). Król dotrzymał mu słowa i napróżno Małachowski zaklinał się, że ostatek życia swego chce spędzić w spokojności, na służbie Bożéj w kościołku wiejskim, musiał uledz naleganiom króla i prawie natrętnym prośbom Chrapowickiego, postanowiwszy wreszcie posłuchać tak poważnych głosów; Małachowski nowe rozpoczął życie i wdrażał się do spraw publicznych w kancellarji koronnéj. Bystro przebiegał poniższych stanowiskach, aż wreszcie został referendarzem koronnym i lada chwila mógł otrzymać biskupstwo albo pieczęć; zaiste godzien był tego szczęścia, które go niespodzianie spotkało. (*d. c. n*).

O POZYTYWIZMIE.

(August Comte, artykuł p. Dupont Whitte, professor Lévêque, konferencja Ojca Feliksa).

„W czém leży wielkość życia? W urzeczywistnieniu w wieku dojrzałym wzniosłéj myśli, którą młodość wypiastowała.“ Są to słowa Alfreda de Vigny, które August Comte do swojéj karjery zastosował, możnaby jednak dodać że działalność jego lat późniejszych nie odpowiedziała piérwszéj młodości wzlotom, a nawet sam jego najgorliwszy zwolennik i propagator, uczony Littré, pokazuje się niezadowolony z drugiego perjodu jego filozoficznéj karjery i wyznaje to otwarcie, łapiąc go na niejakich z samym sobą sprzecznościach w swém dziele wydaném r. 1863, p. t. *Auguste Comte et la philosophie positive.* Comte z początku związany wspólnością interesów z Saint-Simon, w 24 roku życia stanowczo się z nim rozłączył, a w r. 1822 rozpoczął publiczny wykład nowéj filozofji, którą nazwał filozofją pozytywną czyli realną, dlatego że była niejako uogólnieniem metody szczegółowéj, któréj używała każda nauka realna czyli ścisła, żeby się *stworzyć* i używa ciągle, aby się rozwinąć. Ztąd też spirytualne twierdzenia religji i metafizyki nazywa przesadną spekulacją umysłów, błędną i drobiazgową metodą, którą w dzieciństwie swojém zajmowała się mało rozumująca jeszcze ludzkość. Twierdząc że téj ludzkości, dojrzałéj dziś, potrzeba wziąść za punkt wyjścia materję i jéj praw znajomość, a zostawić na boku wszystkie ducha mrzonki, Comte w swojéj *sociologji*, gdzie nakreśla jaką ma być nowa era życia ludzkości, to jest tworzy nową moralność i religję pozytywną, wyznaje przecież: „Umysł ludzki nie może wyrzec się wiary że jest jakaś wola od jego woli niezależna, która w wypadkach świata nie małą gra rolę.“ Jeżeli tak jest, odzywa się w wyżéj wspomnioném dziele, już po śmierci Comta wydaném, Littré (2), to umysł ludzki jest przedewszystkiém teologiczny i doprawdy, trudno było uczynić wyznania bardziéj śmiertelnego dla filozofji pozytywnéj.“

Sprzeczności takie możnaby na wielu punktach wytknąć w teorjach Comt'a. I tak John Stuart Mill angielski ekonomista w dziele swojem *o rządzie reprezentacyjnym* broni sprawy kobiét, wskazuje niedokładność ich edukacji; wierzy że kobiéta równą jest mężczyznie, i że téj równości cywilizacja, ani nawet dzisiejsze jéj postępy nie uczyniły zadość. W ciągnącéj się jakiś czas korespondencji z panem Comte, wyraził mu swe opinje w téj mierze. Comte przyznał że to jedna z kwestji najważniejszych jakie dziś poruszyć można, ale twierdził między innemi: „Znajduję że pan nie uznajesz dosyć ważności następstw jakie pociąga za sobą wrodzona niższość ko-

---

(1) Wzmianka tutaj o innym obrazku historycznym zostającym w rękopiśmie.

(2) Littré doktór medycyny, przetłomaczył niedawno dzieła Hippokratesa z greckiego.

biet.... Ja sądzę że one są tak niesposobne do zarządu wielkiém przedsięwzięciem handlowém lub fabryczném, jak do kierowania wojenną wyprawą, tém też bardziéj są kompletnie niezdatne do jakichkolwiek bądź rządów, nawet domowych. W żadnéj gałęzi nie przystoi im kierunek i wykonanie, są bowiem wyraźnie przeznaczone do rady i modyfikacji, w czém ich bierne położenie pozwala im szczęśliwie zużytkować wrodzoną bystrość.“

Tak mówił z początku p. Comte kiedy był jeszcze ożeniony. Kiedy zaś po rozwodzie z żoną ukochał p. Klotyldę de Vaux, któréj dedykował swój 4ro tomowy traktat Sociologji, gdzie tworzy nową religję ludzkości, już tam wyższą misję naznacza kobiétom. „Tak to z pełnych godności usiłowań uczucia (Klotyldy) i rozumu (Comt'a) zajaśniał nareście wśród tegoczesnéj anarchji, główny dogmat ludzkości, jako jedyna podstawa wszechświata religji, napróżno szukanéj od 20tu wieków tak na Zachodzie jakotéż i na Wschodzie.“ Dotąd wszakże, jak widzimy, ludzkość nie bardzo pochopnie się rzuciła do téj osobliwéj religji, lecz p. Comte zrozumiał, że przez kobiéty wiele zrobić można, więc często do nich zwraca mowę swoją, z przesadą wieki średnie za ich cześć dla kobiéty wychwala i twierdzi, że „jarzmo mężczyzny ugnie się tylko przed kobietą.!“ Daléj „wielkie idee społeczne dopiero pod natchnieniami serca kobiecego przybiérają swą cechę prawdziwą.“ Wprawdzie nie chce żeby kobiéty posiadały bogactwa, które są według niego tylko poniżeniem i dla tego odsuwa ich od dziedziczenia, ale też żąda aby się żadną materjalną nie zajmowały pracą, oraz woła, żeby w braku męża lub krewnych, społeczeństwo zapewniało im utrzymanie w nagrodę za dostojeństwo moralne które piastują, uszlachetniając bez przestanku siłę, to jest mężczyznę.

Teraz rzućmy okiem na bieg życia tego nowatora, skoro niepodobna zaprzeczyć żeby myśl człowieka nie rozwijała się pod wpływem okoliczności wynikłych z jego położenia, z czasów wśród których żyje i działa, a nawet ze stanu jego zdrowia. Otóż zawód filozoficzny Augusta Comte przedzielony jest na dwie epoki chorobą umysłową, która blisko dwa lata trwała i chociaż twierdzą, że został uleczony *zupełnie*, jednak mimowolnie nasuwa się myśl czytając wspomnione jego dzieło: *Polityka pozytywna czyli traktat sociologji* że tam jeszcze w téj głowie, w której się te pomysły poczęły, jakiś *ćwieczek* pozostał. Charakter zaś człowieka wcale nie osobliwy; przytoczę tu tylko szczegóły, które sami jego przyjaciele do wiadomości podali. P. Comte narażając sobie tych i owych, tracił zajmowane przez siebie posady, wtedy udał się do przyjaciół i zwolenników, którzy mu przez subskrypcję zapewnili dochód na czas jakiś. Comte przyjął to jako hołd sobie należny i domagał się drukiem aby to było przemienione w pensję dożywotnią, która jakkolwiek niewystarczająca, dozwoli mu jednak swobodniéj zajmować się kapłaństwem nowéj religji. Zwolennikom filozofa wydało się to zapewne bardzo naturalném, ale nas razi jakoś apostoł tak zabiegliwy o swoje materjalne interesa.

Comte ożenił się z młodą osobą, którą ukochał i która się tak do niego przywiązała, że zezwoliła na ślub tylko cywilny, gdyż religijny był przeciwny opinjom narzeczonego. W kilka lat późniéj, w czasie choroby filozofa, jego matka surowo pobożna wymogła, że zezwolił na duchowne błogosławieństwo. Wezwano tedy księdza do pokoju, chory rozdrażniony słuchał go niecierpliwie, śmiał się, szydził i przedrzeźniał, a ksiądz w nieopatrznéj gorliwości swojéj, palił mimo to mówkę do nowozaślubionych. Już po śmierci męża, pani Comte opowiadała swoim znajomym, że nie podobna jéj bez przykrego wrażenia wspomnieć na ten ślub, który na bluźnierstwo wyglądał.

Teraz przypatrzmy się epoce saméj choroby. Skoro ona gwałtownie wybuchła, pani Comte z porady przyjaciół oddała męża do zakładu pana Dubois, ale sama świadomość że jest w domu obłąkanych, chociaż robiono wszystko, żeby to przed nim ukryć, drażniła go tak, że wszystkie środki okazały się bezużyteczne. P. Dubois oświadczył żonie, że z wieksza nadzieją powodzenia możnaby go leczyć w domu, nic w około niego nie zmieniając, ale nie taił zarazem niebezpieczeństwa i trudności położenia osób otaczających. Żona jednak nie zraziła się niemi, kazawszy okratować okna dla uchronienia męża od przypadku, wzięła go do domu. Lecz kraty wnet odrzucić trzeba było, gdyż chory oburzył się, że go chcą zamknąć w więzieniu. Trudno wypowiedzieć ile nieszczęsnéj żonie trzeba było taktu, wytrwałości i poświęcenia, żeby sobie dawać radę z tak niesfornym chorym, który nawet raz rzucił się na nią z nożem, a lekarstw żadnych przyjąć nie chciał. Więc pani Comte dawała mu je w potrawach, a dla niepoznaki sama je z nim jadła, żeby następujące przypadłości módz zwalić na jakiś traf niespodziewany. Tyle starań pomyślnym nareście uwieńczone zostało skutkiem, chory wyzdrowiał i wyznawał przed każdym ile żonie jest winien. Lecz po kilku latach znajdować zaczął, że ta wierna towarzyszka stała się nieznośną i że dopiero jak sam w domu pozostanie, będzie mógł z pożytkiem dla filozofji oddawać się swym pracom. Gdy raz powiedział żonie, że chce publicznie robić zarzuty p. Arago, ta przypomniała mu jego własne zdanie, że należy wpierw ostrzedz tego, na kogo się ma napadać, aby tenże mógł swą przygotować obronę. To spowodowało sprzeczkę, skutkiem któréj p. Comte zażądał rozdziału, żona zaś zgodziła się na niego i najęła sobie zaraz mieszkanie. P. Comte oznaczył pensję, którą jéj miał stale płacić i rozpisał listy do swoich znajomych

że mu jest teraz bardzo dobrze samemu. Pozostał wszakże w korespondencji z żoną i miał nawet tyle niedelikatności, że jéj opisywał miłość jaka go przykuła do p. Klotyldy de Vaux i nadzwyczajne tejże przymioty. Jednak gdy p. Comte zachorowała, prosił znajomych aby jéj posłali doktora. Ten widząc stan zaniedbany w jakim żyła chora, zapytał jéj czy niema funduszów dla dostarczenia sobie większych wygód? Pani Comte odpowiedziała że ma wprawdzie trochę pieniędzy, ale je uzbierała dla dania ich w potrzebie mężowi, który dużo nawykł wydawać. Doktór rozrzewniony powtórzył ten szczegół mężowi, sądząc, że go wdzięczném przejmie uczuciem. Cóż sądzicie że na to mąż powiedział? „A! widać, że ja mojéj żonie daję zanadto, kiedy jeszcze znajduje sposobność oszczędzania.“ I odtąd odciągał jéj 500 franków rocznie z obiecanéj summy, któréj nawet regularnie nie płacił.

Comte doczekał się wkrótce boleści złożenia w grobie ukochanéj Klotyldy; niedługo też sam umarł nie doszedłszy starości, zostawując systemat filozoficzny podtrzymywany przez gromadkę zwolenników, systemat będący zbiorem zaprzeczeń, przeciwieństw, a podający się za główny wypadek, czyli raczéj koronę wszystkich nauk w naszym wieku; słowem, za ostatnie słowo ludzkiego ducha. „Historja w całym swoim rozwoju, powiada Littré, pokazuje długi ciąg idei teologicznych i metafizycznych, lecz już nowy zwrot się zaczyna i źródło idei pozytywnych, obficie się rozlewa, pozostawione w zupełności spadkowi, który je porywa i nienaruszone w łożysku, które sobie wyżłabia.“ I daléj „Nauki słusznie dzisiaj zarzuciły poszukiwania nad treścią wszech rzeczy, filozofja zaś błądzi, że się na téj drodze trzyma uporczywie. Metafizyka nosi na sobie piętno wątpliwości, którego nic z niéj zetrzeć nie może, coraz tedy bardziéj rozszerza się przedział między nią a nauką; ona pozostaje zasklepiona w swéj metodzie dziś już jałowéj, a nauka rozwija swoją coraz bardziéj płodną. Ile razy postąpi krok naprzód, to się opiera silnie na tém co dokonane, żeby zrobić krok drugi. Rzecz się ma przeciwnie z filozofją; nie ma tam ciągłego budowania trwałego gmachu, lecz za każdym razem nowy pomysł wznoszący się na zwaliskach piérwszego.“ Byłby to zarzut poniekąd słuszny, gdyby nie był czczą tylko gadaniną (*), któréj zaprzeczają zasady pozytywnéj filozofji, lecz takie słowa właśnie zyskały pozytywistom zwolenników, porywając umysły, które ich systematu do gruntu nie zbadały.

———

W przeglądzie dwóch światów, w ważnym artykule drukowanym r. b. w Lutym p. Dupont Whitte odzywa się w tym przedmiocie następującemi słowy:

„Cóż dziwnego, że widząc rozwój umysłowości (intelligence) ludzkiéj, przechodzącéj z omamień wyobraźni do badania, lekceważącéj hipotezę aby przystąpić do doświadczeń, gdzie znajdują prawdę podziwieniem przejmującą, a tak obfitą wskutki dobroczynne (jakiemi np. zdobycze nauk ścisłych), niektórzy zbyt pochopnie osądzili, że nauka ze swemi systematami, nabytkami, a nawet z ograniczeniem swojém, stanie się ostatniém słowem człowieczego ducha.“ Dowodzi on obszernie, że ten kierunek czysto realny jest zgubnym i potrzebom ducha ludzkiego nieodpowiednim. Cóż mi z tego, powiada, że mi wykażą nieomylnemi dowodzeniami rzeczy ważne bezwątpienia, ale drugorzędne, w obec wielkich zagadnień tyczących się duszy mojéj, w któréj nieśmiertelność wierzę, bo tę wiarę czytamy wszyscy w porywach naszych przeczuć, w instynkcie naszym, w którym się ród ludzki objawia i uczy zarazem. „Nauka przecież nie od wczoraj istnieje, dla czegoż dziś dopiéro nabrała tyle arogancji, że chce sama zapanować nad umysłem ludzkim?“ I dalej wyraża p. Dupont Whitte, że dla nauki znalazł się teraz najstosowniejszy czas dać poznać swoje posłannictwo, kiedy teologja i filozofja zamiast iść z postępem wieku, zamiast tworzyć obyczaje i dyktować prawa, zamknąwszy oczy stanęły w poprzek nowemu życia prądowi. „I tak religja zacząwszy od tego, że wszystko odnosiła do siebie, wszystko tłomaczyła, teraz wypuściła z rąk wszystko. Uporczywie pozostaje tak w drobnych jak w ważnych rzeczach, w odrętwieniu niezwyciężoném.“... „Dlaczego filozofja przedstawia tylko niewzruszenie jedną definicję ludzkości? dlaczego upiera się pokazywać nam tylko rys ogólny duszy, podczas kiedy literatura śledzi krok w krok wszystkie odcienia, najdelikatniejszy rozwój téj głębi istnienia ludzkiego? To właśnie sprawia, że literatura jest społeczeństwa wyrazem i na takiéj tylko drodze filozofja osiągnie wpływ i nauczaniem politycznem się stanie. Znając jedynie ogólną ludzkości fizognomję, nie wiele wiemy o jéj prawach i losach jakie ją oczekują.“....

Nakoniec p. D. W. woła: „dajmy raz pokój rozprawom o sensualizmie i idealizmie, dowodzeniom co jest spirytualizm a co materjalizm; już te gadaniny o różnorodnych systematach dosyć umęczyły rozum ludzki; życia tam niema, gdzie indziéj nasze zadanie. Filozofowie! w długich wywodach o pochodzeniu idei, dosyć już wyekspensowaliście rozumu, który gdzieindziejby się przydał. A tymczasem świat postępuje, pomimo sensualizmu z którym walczycie i nie oglądając się na spirytualizm który wyznajecie “

Skoro ten artykuł ukazał się na widok publiczny, profesor Lévêque zaraz na swéj prelekcji, mianéj jak zwykle w *College de France*,

———

(*) P. Littré wielbi siłą naukowych pewników, a więc wierzy w absolut w nauce, zapominając, że właśnie systemat któremu służy, odrzuca absolut. Zobaczymy następnie jak ojciec Feliks chwyta pozytywistów na téj niedorzeczności.

podniósł rzuconą filozofji rękawicę, zostawując teologji żeby się sama broniła. Zgadzając się w wielu punktach z p. Dupont de Whitte, zarzucił mu, że za wiele od filozofów wymaga. Każdy filozof (powiedział) winien być cokolwiek człowiekiem *a priori*. Traktować o człowieku w ogólności, nie jest to poruszać widmo, jest bowiem pewna następczość w charakterze pokoleń ludzkich; zmieniają człowieka okoliczności przypadkowe, wynikające z usposobień chwili, ale tło pozostaje zawsze to samo. Serce człowiecze czy pod tuniką z czasów Sokratesa, czy pod żelaznym pancerzem wieków średnich, lub nakoniec pod odzieżą dzisiejszéj mody, zawsze jednakowo bije. Powinna zatém filozofja studjować człowieka jako typ ogólny, przestawszy bowiem zajmować się człowiekiem w ogólności, zeszłaby do indywiduów, lub do pojedynczych społeczeństw, a więc wkroczyłaby w dziedzinę historji. Nauk zaś rozwijać niepodobna, jeżeli się nad każdą ich gałęzią nie pracuje osobno. Nie chciejcież sprzecznych rzeczy od filozofa; już same nauki moralne wymagają wiele pracy i życie pojedynczego człowieka wypełnić mogą; nie wymagajcie więc żeby filozof był zarazem historykiem i prawnikiem, a takim co najmniéj byćby powinien, żeby był praktycznym prawodawcą ludzkości, jak tego p. Dupont-Whitte wymaga mówiąc: „Potrzeba nauki życia politycznego, a tę powinna stworzyć filozofja.“ W końcu p. Léveque usiłował usprawiedliwić, dla czego we Francji jest taka sprzeczność między szlachetnemi zasadami filozofji spirytualnéj, a dążnościami ogółu pełnemi samolubstwa, chciwości zysku i obojętności na wszystkie duszy porywy, tak, że wśród społeczeństwa tego, owa filozofja wygląda jak piękna mrzonka, ktorą się zabawia kilka ekzaltowanych umysłów. Otóż pr. Léveque powiada, że niema jak sześćdziesiąt lat od czasu jak filozofja spirytualna rozwija się we Francji i cała większa część ludności nie była dość przygotowana do przyjęcia tych pojęć, poszła więc chętniéj za prądem materjalnych zysków i uciech, które ją bardziéj porywały ku sobie. Lecz my filozofowie téj szkoły, (kończył), musimy czekać cierpliwie, żeby oni mieli uszy ku słyszeniu. Tymczasem nauczać słowem i przykładem. Jedynym bowiem sposobem na zwyciężenie samolubstwa jest światło!...

Tak bronił pr. Léveque sprawy filozofji, a jego słuchacze mogliby dodać, że nie do takich to filozofów, jakim jest ich professor, był wymierzony zarzut artykułu. Słowa p. Dupont-Whitte znalazły oddźwięk w umysłach tych wszystkich, coby radzi aby nietylko łamigłówki metafizyczne, jałowe systemata, ale moralne zdrowie ludzkości było ostatecznym rezultatem prac filozofji. A właśnie pod taką chorągwią służy p. Léveque. On w publicznym wykładzie swoim położył sobie za zadanie wykazać, że prawdziwa wolność, to cnota. On ma prawdę za sobą, gdy studjując człowieka, we wszystkich jego charakteru objawach, woła z katedry: „Patrzcież, zastanawiając się nad człowiekiem w ogólności, nie stawiam przed wami lalki, ale istotę ze krwi i ciała.“ Z księgą fizjologji w ręku, do której się odwołuje często, jako objaśniającéj mechanizm ludzkiego organizmu i jego oddziaływanie na przebywającego w nim nieśmiertelnego ducha, p. Léveque z wymową i wiarą, która pała w jego spojrzeniu, dowodzi, że człowiek nigdy do tyla nie jest bezsilnym przeciw swemu temperamentowi fizycznemu, aby, gdy się rozumnie ma na baczności, nie mógł nim pokierować według woli. Gdy drogę do takich zwycięztw wskazywać będzie filozofja umysłom naszym, wtedy nikt jéj nie uczyni zarzutu, że bawi się tylko w ogólniki, w abstrakcje, a nie zwraca się dosyć w stronę, w której wre prąd ciągle odnawiającego się życia.“ (Dupont Whitte). Od wspomnionéj prelekcji zaledwie upłynął miesiąc, kiedy inny filozof znakomity, pioruny swojéj wymowy na pozytywizm obrócił. Był to słynny ojciec Feliks jezuita, w przedostatniéj z pomiędzy konferencji swoich, mianych w czasie wielkiego postu w kościele paryskim *Notre-Dame*. Konferencje te składające pewną całość, nie można nazwać kazaniami, ale raczéj wykładem filozofji chrześcjańskiéj, przeprowadzonym na tak szeroką skalę, jak jest potężnym umysł filozofa przemawiającego do oświeconych słuchaczy, których aby zjednać swym słowom, przekonać trzeba koniecznie. Konferencję tę, w której O. Feliks nie podnosi zarzutu uczynionego teologji przez p. Dupont Whitte i nie trwoży się tak jak on rozszerzeniem pozytywizmu, ale ciska nań herkulesową maczugę swojéj wymowy, mam zamiar podać w znacznéj części w przekładzie i dla tego ją do następnego poszytu odkładam.

(*d. c. n.*)

WĄŻ BOA.

Dawniéj używany podział gadów na dwie gromady, licząc do jednéj opatrzone nogami, do drugiéj te które ich wcale nie mają, jest dziś z nauki odsunięty; przekonano się bowiem że w gatunkach należących do piérwszéj gromady były takie: jak np. Amfizbeny które

nóg wcale nie mają, a znów węże uważane za beznożne okazują ich ślady w niektórych gatunkach. Takie też ślady nóg mają największe z pomiędzy nich pitony i boa. Podróżni często podają szczegóły o ich niezmiernéj wielkości, porównywając je do masztu okrętowego. Długość obliczają na 20 łokci i więcéj, średnicę dyrektora menażerji Muzeum, a ojca dzisiejszego professora zoologji. Głowa boa tém się od innych familji węzów odróżnia, że nie jest pokryta blaszkami wielokątnemi, ale zupełnie taką łuską, jak reszta ciała. Wspólną zaś wszystkim wężom cechą jest, że skielet ich mniéj niż u wszystkich innych zwierząt skom-



Wąż Boa.

na dwadzieścia kilka cali. Jednak boa przechowany w galerjach muzeum historji naturalnéj (Jardin des Plantes) w Paryżu, ma zaledwie 12 łokci długości. Węże te tworzą osobną familję w nowym podziale, według układu zębów, wprowadzonym do nauki przez naturalistów francuzkich Bibron i Duméril plikowany. Jest to bowiem tylko przedłużona kolumna kręgowa, żebra utrzymująca, a zakończona u przedniego końca wypukłością czaszki. Końce dolne żeber są zupełnie wolne, z niczem niezłączone, co gra ważną rolę w poruszeniach gadu; przytém brak kości mostkowéj, właściwéj innym zwierzętom jest

koniecznym przy sposobie żywienia się wężów, które nie żując, lecz połykając całkowicie pokarmy, potrzebują pewnéj obszerności klatki piersiowéj. Wielkość otworu paszczy jest także niezbędną dla istot, które połykają często znaczněj objętości pokarm, więc też obie odnogi ich szczęki dolnéj nie są z sobą spojone i część przednia czaszki w pewnéj ruchliwości względem tylnéj się zachowuje.

Układ ich zębów jest równie szczególny. Z małemi wyjątkami zęby wężów są wszystkie kształtu spiczastego, a ich koniec w tył zwrócony, przeznaczeniem ich bowiem nie jest rozcierać pokarm, ale go tylko przytrzymywać. Węże nie mają błony bębenkowéj, a tylko ślady kostek słuchowych, ztąd według powszechnego mniemania, są głuche. Oczy ich pozbawione powiek mają nieruchomość przerażającą. Nie trzeba jednak sądzić że im zbywa na chroniącéj je zasłonie, pokryte są bowiem cienkim naskórkiem przepuszczającym światło, który się odnawia razem ze skórą zwierzęcia.

Jedną z głównych cech wężów jest to, że mają język wysuwalny. W tyle jego osady znajduje się nagłośnik czyli tak zwany w potocznem wyrażeniu języczek, którego przeznaczeniem jest zamknąć podczas połykania kanał oddechowy. Otóż gdy np taki boa, porwie łup znaczny, przełknięcie jego trwa zwykle dość długo i wążby się zadusił gdyby języczek pozostał na swém miejscu tamując oddech. Lecz w najdrobniejszym organizmie wszystko tak mądrze urządzone, że i tutaj aby ułatwić oddychanie, języczek naprzód szczęki się wysuwa i pomiędzy dwoma jéj gałęziami, na dolnéj ścianie jamy ustnéj się opiera, tak żeby wejście powietrza ułatwić.

Rycina nasza przedstawia dzikich, którzy w towarzystwie polującego europejczyka ubili węża boa kijmi, żeby nie nadwerężyć jego skóry i jeszcze na pół żyjącego wieszają dla ściągnięcia tejże. Boa z przyczyny ogromu swego był przedmiotem różnych opowieści, w których także figuruje jego jadowitość, co jest największym fałszem, gdyż węże jadowite, mają inny układ zębów. (Te dwa lub trzy zęby pod któremi znajduje się pęcherzyk z jadem, są zwykle opatrzone na zewnątrz wyżłobieniem, którém tenże jad wpływa w ranę, w czasie ukąszenia). Także też wzrost ich daleko mniejszy. Wąż zaś boa odznacza się tylko siłą muskularną, za pomocą któréj dusi zwierzęta, które chce swą pastwą uczynić. Jedna z historyjek o nim, sięgająca XIV wieku opowiada jak się zjawił już niewiem zkąd na wyspie Rodus, w czasie kiedy ją posiadali kawalerowie Maltańscy i stał się postrachem mieszkańców, łykając barany, krowy, konie, nawet rycerzy, którzy go zabić chcieli pożerał; aż nareście jeden z rycerzy prowensalczyk rodem, Bogumił z Gozon, wpadł na myśl szczęśliwą i kazawszy zrobić zupełnie podobną wypchaną postać węża, przyuczał swe psy gończe, aby go w brzuch gryzły i szarpały, uważał bowiem że wąż nie miał tam tak twardych łusek, jak na grzbiecie. Gdy przyszło do walki, wąż powalił rycerza z koniem, ale rycerz zerwał się na nogi, psy wypełniły swoją powinność, nieprzyjaciel, który napełniał postrachem całą okolicę został zabity, a głowa jego jako trofea zwycięztwa do bramy miasta przybita.

J. Śmigielska.

PROROK.

oll einst die Nachwelt dich mit Segen [nennen,
Sollst du den Fluch der Mittwelt tragen [können. (Raupach).

Gdy kiedyś przyszłość ze czcią ma twe [imię głosić,
Gotuj się od współczesnych, złorzeczenia [znosić.

W kim duch lotny, myśl wysoka,
W sercu żądza świata chwał,
Cóż mu za dziw, że Proroka
Cześć i miano miećby chciał.

Lecz niech spojrzy— a ochłonie—
Jaki na to brać ma chrzest:
Czém u ludzi, nie po zgonie,
Lecz za życia Prorok jest.

Szał, ślepota, czcze rachuby
Pchną lud jego w grzech lub srom:
Prorok widzi otchłań zguby,
Groźb niebieskich słyszy grom.

Prorok woła, co mu każe
W sercu Prawda, w duszy Bóg:
Za odpowiedź grzmią potwarze,
Wszyscy bracia— on jest wróg!

W nim się serce żalem krwawi,
W koło śmiechu szydny ton.
Wszyscy mądrzy, wszyscy prawi,
Kłamca, zdrajca— jeden on!

Najlichszego gmin podnasza,
Gdy ma kamień rzucić nań.
Ból i los Jeremijasza,
To Proroków wszystkich dań.

Czyż więc zmilknie i z bojaźni
Bożych natchnień stłumi dar?

Czyż i w nim się nie rozdraźni
Człowieczego gniewu żar?

Biada, biada Prorokowi,
Co błąd karcąc, sam brnie w błąd!
Bóg litościw człowiekowi,
Lecz na niego inszy sąd.

Wziął najwyższe— wziął natchnienie,
I najwyższe musi dać,
Na co ludzkie przyrodzenie
I ludzkiego ducha stać.

Prorok musi zrzec się siebie,
Czcią i życiem wzgardzić tu.
Stos kamieni, co go grzebie,
To dopiéro ołtarz mu.

Tam się naród w pierś uderzy,
Tam wdzięczności spłaci dług,
Gdy po skutku groźb uwierzy
Ze z Proroka mówił Bóg.

*** (*)

WYCHOWANIE DOMOWE.

„Godzi się wszelką wyznać prawdę nawet o domowém rodzin pożyciu i o wpływie ich na wychowanie młodzieży. Nie waham się przeto wyrzec, iż obyczaje w rodzinach są pełne miękkości, a powaga ojcowska zbyt słaby ma wpływ na prowadzenie synów i córek. Mówię to z doświadczenia i powtarzam: miękkość obyczajów domowych stanowi główną przeszkodę w dzisiejszém wychowaniu publiczném. Tak, władza rodzicielska nie ma dziś tego zbawiennego wpływu ani na rodzinę ani na wychowanie jak to bywało dawniéj, kiedy obyczaje były twardsze a *wyobrażenia bardziéj ustalone.*

Wszyscy do tego się przyznajemy, że nam brak stałości w wyobrażeniach a wytrwałosci w wierze. Czyż sądzicie, że to jakieś wahanie się pojęć, ten niestatek w charakterze nie odbija się także w wychowaniu waszych dzieci?

Mniemacie, iż ojcowie rodzin *którzy nie wiedzą sami czego chcą i w co wierzą,* zdołają pokierować swemi dziećmi, oraz wybrać zasady podług jakich należy je wychować? Że będą umieli natchnąć je zdrowemi wyobrażeniami i przeprowadzić ten rozwój moralny z siłą i wytrwałością? Bynajmniéj, miękkość społecznych obyczajów da się uczuć i w wychochowaniu młodzi (*Guizot*).

„Dziś naprzykład bardzo rozpowszechnionèm jest to zdanie u rodziców, którzy długo rozmyślali nad sztuką wychowania: że posłuszeństwo szkodzi rozwinięciu się wolnéj woli u dzieci, że rodzice nie powinni *rozkazywać* lecz *radzić* i t. p. O tém, jak o wielu podobnych zdaniach powiem: że kiedy przewrotne wyobrażenia zamienione są w zasady, stają się klęską społeczeństwa i potrzeba z niemi walczyć jak najusilniéj żeby je pokonać. Przebóg! mamyż uwierzyć temu, że posłuszeństwo przeszkadza wyrobieniu wolnéj w człowieku woli; że szacunek szkodzi miłości, a pokora synowska poniża charakter!

Krzewić takie wyobrażenia, znaczy tyle, co wszelkie pojęcie o moralności i cnocie zniweczyć. W skutek takich to wyobrażeń tworzą się te potworne zasady wychowania, o których jakiś człowiek dowcipny słusznie wyrzekł: iż wychowanie *jest to sztuka rozwinięcia w dziecku wszystkich wad od przyrody mu danych, oraz obdarzenia go temi wadami, jakich przyrodzenie dać mu zapomniało.* Co zaś najgorsza to to, że dziś nawet rodzice chrześcijanie częstokroć dają się łudzić owym przewrotnym zdaniom, zapominając, iż posłuszeństwo i cześć dla starszych, są to główne dziecka cnoty, że bez tych cnót, żadne nie uda się wychowanie. (*Dupanloup arcyb. Orleański*).

Mogłabym jeszcze przytoczyć wam Senekę, Plutarcha, Platona; mędrców wszystkich wieków i wszelkich wyznań, którzy zgadzają się na to, że dziecię potrzebuje na dobrych kształcić się wzorach, że od kolebki już się wykształcenie jego zaczyna i że bardzo trzeba wiele baczności w wyborze osób otaczających kilkomiesięczną nawet dziecinę, bo ten młody umysł, ta czysta i niewinna dusza, wszystko chwyta, przejmuje, powtarza i wkrótce nawet wszystko osądzi.)

Spojrzyjcie na nie: prostota i świętość, prawda i szczerość świecą z tego młodziutkiego oblicza. Jaki wzrok pełen myśli i blasku, co za słodycz uśmiechu, jaki wdzięk w ruchach, jaka bystrość w pojmowaniu! Ciało i dusza w zupełnéj tu zgodzie. Serce jego zdolne już do cnót wzniosłych; to co apostoł Paweł wyrzekł o miłości, toby do niezepsutego dziecięcia zastosować się dało. Wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, szuka wszystkiego co miłe i dobre; podziwia co jest szlachetne i piękne. Raduje się ze szczęśliwemi, nie domyśla się złego, nie smuci go rzecz dobra. Kochasz go, wzajemnoscią ci odpłaca; zdajesz się mu być cnotliwym? więc cię uwielbia. Co czyni, czyni bez pychy, bez goryczy lub złośliwości. Gdy słyszy opowiadanie szlachetnego czynu, serce jego bije żywiéj i wzrok się zapala. Płacze na widok niedoli, skarg nie czeka bo już

(*) **Sprostowanie**: W wierszu zamieszczonym w sierpniowym poszycie Kółka pod tytułem: *Kółko Domowe* w wierszu 19 zamiast *epoka* czytać należy. *opoka*, w wierszu zaś 28 zamiast *starzyzny starszyzny*

domyśliło się i odgadło potrzeby nędzarza. Jego spojrzenie najprędzéj wyśledzi ubogiego, który drżąc postępuje za dziecięciem, bo ręka jego skwapliwie otwiera się na udzielenie jałmużny. Cóż więc dziwnego że Zbawiciel spierającym się uczniom swym o to kto będzie największy w Królestwie Niebieskiém? przyprowadził dziecię a uściskawszy je i postawiwszy w pośród zgromadzonych rzekł:

Zaprawdę powiadam wam, jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie się jako dzieci, żadnym sposobem nie wnijdziecie do królestwa niebieskiego (1)

Jeżeli ta Zbawcy przestroga, potrzebną była dla uczniów Chrystusa, jeżeli wybór ówczesnego społeczeństwa, najlepsi, najzacniejsi, przyszli święci kościoła, potrzebowali takiéj przemiany, cóż dopiéro powiedzieć o nas, którzy tak dalekiemi jesteśmy od wszelkiego podobieństwa do wzwyż nakreślonego, niewinności i prostoty dziecinnéj, obrazu?

„*Albowiem diabłom ofiarowali syny swoje i córy swoje*,“ mówi psalmista. O! matki chrześcijańskie, o! wy ojcowie rodzin tegoczesnych! można śmiało powiedzieć to o was. Jeżeli dzieci wasze przychodzą na świat ze skłonnościami takiemi jak wasze, już tém samém poświęcone są duchowi czasu, duchowi złego. Jeżeli przeciwnie, dziecko wasze przyniosło z sobą zarodek wielkich cnót i wysokich zdolności, nieumiejętność wasza, pycha, ciemnota w rzeczach bożych, to jest w tém wszystkiem co jasne, proste, sprawiedliwe, niszczy te świetne duszy, syna lub córki waszéj, przymioty i nieszczęśliwą jakąś w świat wyprowadza istotę.

Małżeństwo musi to być stan bliski doskonałości skoro Chrystus podniósł go do stopnia sakramentu — rodzicielstwo, wszakże to szczyt godności ludzkiéj; człowiek staje się zastępcą Boga w obec równych sobie istot. Ojciec wyobraża mądrość, władzę, opiekę Opatrzności— Matka, miłość i przezorność... Czytelnicy moi, pytam was czy zawierając śluby małżeńskie, wychowując dzieci, pomyśleliście choć raz o tych wysokich dostojnych w społeczeństwie obowiązkach; czyście uczynili by najmniejsze poświęcenie z drobnych niepotrzebnych nawyknień, z poniżającéj was próżności — aby tym obowiązkom sprostać?

Do gospodarczego wozu na którym toczy się byt wasz materyalny, zaprzęgacie pychę i płochość, samolubstwo i zbytek. Drogie rodzinne rozkosze, dzieci waszych cnota i przyszłości wasz własny chléb powszedni na jutro, spokój starości waszéj; to wszystko bywa rzucone, zdeptane przez was samych w hołd próżności błędowi, śmiesznym, przez Boga nieustanowionym zwyczajom. Cóż więc za wzory mieć z was mogą dzieci wasze? Jeśli do was są podobne, pomnożą tylko nędzę i zgubę dość już nieszczęśliwéj z powodu swych win społeczności. Będą zaś dobre, zacne, rozumne, pobożne i światłe? tedy choć pogardzać wami nie mogą, wiedząc iż to się niegodzi, bardzo trudno *czcić was* im przyjdzie, bo *cześć* należy się cnocie i światłu.

Nieraz widziałem zamożne a nawet bogate dzieci prostaczków, czcią i miłością otaczające zgrzybiałego ojca, siwizną okrytą matkę. Nie wzięły one od rodziców tak zwanéj edukacji, często ani grosza na ciężką w świat wyprawę z domu nie dostały, owszem pracą lat swych młodych musiały dopomagać rodzicom i młodszemu rodzeństwu. Zkądże przeto miłość taka i wdzięczność dla tych, którzy prócz życia i pierwiastkowego wychowania, więcéj nic im nie dali? — Ztąd niezawodnie że w téj prostacéj ubogiego rodzica chacie, w przykładach nieokrzesanéj ale cnotliwéj matki, dziecię dopatrzyło tyle prawéj mądrości, poświęcenia, cnoty, że obejrzawszy się po wyżéj ukształconych sferach, widząc inne matki, innych ojców powiedziało sobie: kocham ich, bo to rodzice moi którzy mię więcéj niż wszyscy na świecie kochają: a czczę z wdzięcznością za to iż z chlubą powiedzieć sobie mogę: *jestem uczciwych ludzi synem, imienia mego żadna krzywda ludzka nie plami, niczyje przekleństwo pamięci mych rodziców nie obciąża.*“

Wnoszę iż uczciwość łatwą musi być cnotą dla ludzi bojących się Boga, dobre zaś prowadzenie dzieci nie wielkich także wymaga wysileń tylko — dobrego przykładu. Nie dogadzaj sobie, pieszcząc namiętnie twe dziecię, nie schlebiaj miękkości swojéj, mówiąc że karac go za złe, niemasz serca. Nie hołduj swéj próżności, zamieniając tę cudną istotę w bawidełko dla gości a bałwana dla domowników— daj mu przykład prostoty, miłosierdzia, sumienności, pracy, miłości Boga i bliźniego; ucz się jak dogodzić fizycznéj dziecięcia przyrodzie żeby zdrowia mu nie nadwątlić żadnym zbytkiem, przesadą żadną; wybieraj niańki skromne i poczciwe od towarzystwa i gości mało znanych strzeż bacznie; naucz szanować starszych a chwalić i kochać Boga, te tak ogólne rady naprowadzą cię, tkliwa i kochająca matko, na tysiąc drobnych sposobów dobrego wychowania dzieci. — Ale tu nie wystarcza matka; jeżeli przy najzacniejszéj kobiecie znajdzie się mąż bez wiary, bez zacności, bez nauki; na co się zdadzą zabiegi téj nieszczęśliwéj. Możeż synowi zalecać wstrzemięźliwość żona pijaka? uczciwość, żona szulera, pobożność małżonka lichwiarza i bezbożnika? — Nawzajem, czegóż dzieci swe nauczy mąż płochéj, rozrzutnéj, swarliwéj lub sentymentalnéj żony? — W takich domach, nawet cnota i prawda zmieniają się w potępienie i kłamstwo. — Czytelniczki i czytelnicy łaskawi, pomnijcie na to że małżeństwa powinny być dobrane i zgodne — to jest kochające się, cnotliwe i światłe.

17 sierpnia 1865 r.

J. Janiszewska.

---

(1) U Mat. śgo roz. 18ty.

SZYB KOPALNI ZEGARMISTRZA.

Na zachodniéj stronie wyspy Malty, koło góry zwanéj Zebug, sterczą na czterdzieści stóp wysokości strome skały, zakończone którąby parując pod gorącemi promieniami słońca, zostawiała osady soli mogące być przedmiotem handlu. Po bliższém rozpatrzeniu się



Szyb kopalni zegarmistrza.

u góry niewielką płaszczyzną. Grunt ten był własnością pewnego zegarmistrza, który w r. 1810 czy 1811, powziął myśl wykonania tam robót, które mu przynieść miały nieobliczone korzyści. Szło o to, żeby w utworzone sztucznie rezerwoary nagromadzać wodę morską, w skale, odkryto pod jéj powierzchnią grotę komunikującą się z morzem, skutkiem czego przebito otwór prostopadły dla wprowadzania przezeń wody do rezerwoarów na wierzchu będących. Pozornie wszystko się udało, woda napełniła rezerwoary i co dzień zmniejszała się w nich

jéj ilość, co uszczęśliwiony przedsiębierca przypisywał parowaniu. Wpuszczano więc nową wodę, aż nareszcie przekonano się, że woda nie paruje, lecz wsiąka w skałę gębczastą, skutkiem tego wraca do morza. Gdy biédny zegarmistrz chciał wybrać sól o któréj wnosił, że się zgromadziła na dnie rezerwoarów, znalazł tylko muł gęsty, powstały ze skały rozpuszczonéj przez kwas solny. Doznane niepowodzenie tak srogim było dlań ciosem, że aż zapadł na zdrowiu. Tak przeszło lato, a w jesieni gdy wichry silne zaczęły wstrząsać powierzchnię morza, burza gwałtowna napędziła do groty wodę i wprawiła ją w ruch wirowy, według kolistego kształtu ścian skalistych; ta ścieśniona kolumna gwałtownym pędem znalazła sobie ujście w górę i wypadła, niby kryształowy strumień, tak gruby, jak otwór studni, przeszło sześćdziesiąt stóp nad powierzchnię. Na téj wysokości dopiéro zmniejszyła się gwałtowność jéj pędu, porwały ją wichry, poszarpały, rozdzieliły na miliony lśniących kropelek, które mgłą białawą na okoliczną przestrzeń upadły. Mila gruntu prawie stała się wszelkiéj roślinności pozbawioną; ten deszcz słony wypalił wszystko jak gdyby ognia promieniami.

Przed wywierceniem otworu na powierzchni skały nic podobnego się nigdy nie przytrafiło, albowiem powietrze znajdujące się w grocie, a nie mające ujścia, stanowiło opór dla napierających bałwanów morskich, utrzymywały się więc nawzajem w równowadze. Otwór zaś studni czyli szybu dozwalając uchodzić powietrzu, które woda wypierała, złamał dawną równowagę w sposób tak dotkliwy dla właścicieli pól sąsiednich. Ci też wytoczyli niefortunnemu przedsiębiercy proces, żądając od niego sum ogromnych na wynagrodzenie. Umarł wkrótce nieszczęsny nie mogąc przy osłabioném zdrowiu przenieść tylu kłopotów, a otwór w skale pozostał od jego professji ochrzczony szybem, lub saliną zegarmistrza. Tymczasem okoliczni mieszkańcy wpadli na myśl zasypania go głazami i wkrótce dokonali tego. Lecz niedługo stali się widzami nowego fenomenu, albowiem powietrze pozostałe w grocie i parte przez wodę, rozprężając się odpychało ją nawzajem, powodując huki straszliwe, przypominające wystrzały armat różnego kalibru. Roznoszą je echa gór dalekich, niby przeciągłe grzmoty lub uderzenia piorunu. Gdy wiatry dmą gwałtownie, hałas ten powtarza się dniem i nocą, zdaje się wstrząsać skałami jak gdyby je miał w powietrze wysadzić. Nareście woda rozkłada głazy zamykające otwór, resztę w górę wysadza i swobodna strzela znowu wysoką kolumną w przestrzeń. Tak tedy zasypanie studni wystarcza na czas jakiś, lecz tryśnięcie nowéj kolumny wody, nowemi stratami grozi, a mieszkańcy albo ponoszą straty, albo też w ciągłéj pozostają obawie.

Niewiadomo nam jak sobie w ostatnich czasach z tą nieproszoną, lubo nad wyraz piękną i wspaniałą fontanną, poradzono.

SŁÓWKO OD ELEONORY ZIEMIĘCKIÉJ.

(*Zbiór modlitw p. t. Pokój wam!*)

Nie zdziwią się szanowne Redaktorki Kółka Domowego, a tém mniéj Czytelnicy tego pisma, że im polecimy piękną i ważną książkę do nabożeństwa. Obok tysiącznych prac i zajęć sferę życia rodzinnego zapełniających, pozostaje tam wielkie pole dla uczuć religijnych, a jakże miło, kiedy znajdujemy właściwy wyraz dla tych uczuć, wyraz odpowiedni potrzebom serca, które tak często tam pociechy i siły poczerpuje!. Nikt też lepiéj jak rodzina nie oceni wartości takich książek; nikt słuszniéj nie osądzi, czy jest w nich ta ujmująca prostota, która stanowi niezbędny warunek pism tego rodzaju, obok głębokości i namaszczenia. Sąd ten rodziny tak jest niezawodny, iż prawie czyni zbytecznem wszelkie przemówienie literackie, a sprawiedliwość jego tak bywa nieomylną, że dla dzieła pełnego wartości, jak to o którém mówimy, innego zalecenia nie byłoby potrzeba. Ale u nas, uwaga ogółu na ruch piśmienniczy słabo jest zwróconą i dużo czasu upłynie zanim książka dobra otrzyma od razu powodzenie zasłużone, zanim zasługa prawdziwa czy to dzieła, czy książki, nagrodzoną zostanie sprawiedliwia. Obowiązkiem więc jest osób z pismiennictwem bliżéj złączonych, ułatwiać ten czyn ogółowi. I taka to myśl przewodniczyła dzisiejszéj naszéj pracy. Wprawdzie, poprzednie już dzieła autorki, jak *Głos duszy*, tak powszechnie znany i kochany w rodzinach: *Wspomożenie wiernych* itp. zalecają ją dostatecznie; ale obecna jéj książka obok podobieństwa z tamtemi pod względem gruntowności i wdzięku, ma jeszcze cel osobny pocieszenia cierpiących, dopomożenia im w wyrażeniu uczuć boleści i prośby, któremi ich serca są przepełnione. Przez to jest szczególniéj pożądaną dla rodzin, gdzie tkliwość węzłów straszniejszemi jeszcze czyni wszelkie niebezpieczeństwa, jakie drogim osobom zagrażają.

Mamy w naszym języku piękny zbiór, również celowi temu poświęcony: *Korona Męki Pańskiéj*,

ale chociaż układ téj książki, treść pełna namaszczenia, czynią ją prawdziwym skarbem dla pobożnych, tém bardziéj iż cała prawie złożona z modlitw świętobliwego króla Leszczyńskiego, jednakże ta którą rozbieramy, różni się od tamtéj i góruje nad nią bogactwem modlitw do różnych okoliczności zastosowanych, a tak wdzięcznie i głęboko pomyślanych, że równych im w języku naszym nie czytaliśmy. Snać autorka wyczerpała myśl ich z serca własnego, ztąd taka w nich jasność, potoczystość i prawda, ztąd tak staranne zwrócenie uwagi na uprawę duszy cierpiącéj, przez głęboki rozbiór sumienia. Strona ta głównie zajmowała umysł autorki i czasami zdawać by się mogło, iż zadanie to zajmuje ją zbyt wyłącznie, że je spełnia za surowo.... ale wspomniawszy na znaną ewangelją o paralityku najzupełniéj godzimy się z jéj sposobem zapatrywania na ten przedmiot, bo wszak i Zbawiciel pierwéj leczy duszę, odpuszczając grzechy a potem ratuje zdrowie. Z jakimże talentem dokonywa tego autorka, jak stopniuje uwagi moralne, jaką przewodniczką staje się przez to dla umysłów młodych i niemyślących lub też dla tych, którym boleść utrudnia rozwikłanie dziwnego związku, istniejącego między błędem a niedolą....

Słowa Chrystusa wyrzeczone do uczniów w ostatnich chwilach pobytu na ziemi, obrane zostały za godło tego dziełka. Zaprawdę trudno znaleźć więcéj pocieszających wyrazów, jeżeli zechcemy je pojmować we właściwém ich znaczeniu: Pokój wam! których dusza na wzór mojéj smutna aż do śmierci! Pokój wam! bolejącym pod krzyżem, co uciskał moje ramiona! Pokój wam! którzy krzyż ten z miłością tulicie do serca! Pokój mój daję wam, a pokój ten będzie mocą, osłodą i nagrodą waszą!

Błogosławieni, którzy płaczą, lecz ci jedynie co łzy swe uświęcić umieją nie samym hartem ducha, na któren zdobywała się i pycha pogańska, ale zarazem pokorném poddaniem wyrokom niepojętéj częstokroć przez nas w swych objawach mądrości najwyższéj.

Wszelkim duszom pocieszenie! mówi pieśń starożytna, któréj echem brzmią świątynie nasze w dzień tryumfu krzyża! Słowa te są treścią téj książki, a najwyższym ich wyrazem piękne i oryginalne rozmyślania *O Męce Pańskiéj*, oraz serdeczna modlitwa duszy zawiedzionéj w nadziei. *)

*) (Przyp. Red.) Książka ta broszowana, w papier kosztuje złp. 20. oprawna w szagryn złp. 28. oprawna w szagryn z klamerką i ozdobami 35 zł.

Nabyć ją można adresując pieniądze franco wprost do księgarni wydawcy pana Celsa Lewickiego, przy ulicy Kra: Przed: lub też do Redak: Kółka. Przesyłkę jeżeli nie ma przy tem innych sprawunków, płaci się za trzy funty wagi wyrachowywując ile wypadnie według odległości.

PRZEGLĄD MUZYKALJI

Rzadko już bardzo dziś można spotkać się z formą sonaty, któraby przypominała świetne tejże czasy, ogólnie przyjętéj niegdyś jako formy, w któréj talent muzyka wybitnie, jasno się malował, już to wynalazczością saméj myśli już to bogactwem harmonijnych pochodów i zwrotów niespodziewanych, usprawiedliwionych potrzebą ich użycia, to co raz większą doskonałością formy i coraz obszerniejszych jéj rozmiarów, tak, że porównać tylko przeszłego wieku bodajby formę samą sonat pierwotnie pisanych, z temi, które późniejsze potrzeby i pojęcia stworzyły, niepodobna uwierzyć jaki przeskok, jaki postęp się znajduje. Dziś forma ta zachowała się w kwartetach, kwintetach, symfonjach, gdyż sonat coraz mniéj piszą, tém więc ciekawiéj wygląda tytuł: *Sonata appassionata skomponowana przez A. W. Dreszer. Dzieło 1.* Kto tak zaczyna wejście w świat prosząc go o uznanie, musi czuć się na siłach olbrzymem, a przyszłość dopiéro może okazać, czy źle lub dobrze sobie postąpił niechcąc iść nowo utorowaną drogą łatwych fantazyjek. Młodości autora o któréj słyszeliśmy, wcale nie widać w jego Sonacie, jest tam energja i siła, wynalazczość, podniosłość faktury saméj, jest wprawdzie i cokolwiek mimowolnego może naśladownictwa znakomitych w tym rodzaju poprzedników, są miejsca dość zwyczajne, blade, ale rzadko; za to jest tyle dobrych miejsc, tyle świetnych ustępów, że nie tylko równoważą ujemną stronę, ale ją nieporównanie przewyższają i niszczą chwilowe przykre wrażenie, a zostawiają po sobie dobrą wróżbę o siłach i zdolności kompozytora.

Podobno autor jest naszym rodakiem, tém więcéj cieszymy się takim objawem i bodajby przykład Szopena, jeźli nie innych, był bodźcem do napisania czegoś, coby mu pokazało wspólność jego z nami. Muzyka Szopena jest przecież europejską, a jest dla naszych serc rodzinną, zatém pogodzić jedno z drugiem widać że można, jeźli kto chce i umié. Słyszeliśmy o operze napisanéj przez p. Dreszera ciekawiśmy jej, a tymczasem witamy jednego więcéj pracownika.

Róże. Słowa hr. Fr. Skarbka. Śpiew z towarzyszeniem fortepianu przez Wilhelma Troszla. Cena złp. 1, nakładem Gustawa Sennewalda.

Znamy już dosyć rzeczy tego kompozytora, a każda prawie z równą chwyta się skwapliwo-

ścią, gdyż nie zawodzi w oczekiwaniu. *Róże* jako przygrywka fortepianowa traktowane umiejętnie, dla śpiewających również wygodnie i łatwo pisane. Fortepjan tu, jako wierny towarzysz, choć posiada i bogatsze miejscami zwroty harmonji, idzie skromnie bez pretensji, posiłkując częściéj głosowi, aniżeli uwidomiając się za pomocą jakiegoś efektownego wyjścia.

Kwiat alpejski na mezzo-sopran przez Weckerlina, złp. 1.—przekład J. Chęcińskiego.

Jest to jedna z *Pieśni Obcych* Nr. 18 wyborowego zbioru wydawanego przez G. Sennewalda, o poprzednich numerach składających się z kompozycji Bacha, Mendelsohna, Meyerbeera, Schumana, Mozarta, za ukazaniem się na widok publiczny mówiliśmy w swoim czasie w krótkości, ale co dostateczném bywa dla chcących zapoznać się z prawdziwemi pięknościami. I ta pieśń odznacza się prostotą, melodją łatwo wpadającą do ucha, akompanjamentem niezdolnym zastraszyć nikogo swą trudnością.— Jedno cobyśmy zarzucili autorowi jest ustęp wokalizacyjny za wesoły, obok smętnéj treści słów, wyrażających rozpacz i zwątpienie zawiedzionego serca, chociaż sam w sobie wzięty ustęp ten jest dobry i efektowny.

Dwa Mazurki Salonowe przez Władysława Krogulskiego. Cena złp. 2.

Obadwa w tonie minorowym pisane (F i D.) łatwo i przystępnie, melodja nie błyszcząca nowością, ale dobra i gładko płynąca. Zdaje nam się że to praca pierwsza w świat puszczona, a zatém sądzić z tego o zdolnościach autora na przyszłość stanowczo byłoby przedwczesném. Jedną tylko radę dać chcemy, aby nie ustawał w pracy na tém polu, a może być kiedyś użytecznym pracownikiem, w ściśle danym, oznaczonym kierunku.

Wiosna, Sielanka do śpiewu, wiersz hr. S. Muzyka Augusta Dresslera. Cena złp. 2. Przegrywka rytmem mazurka oryginalna i dobrze usposabia, — gdy wchodzi śpiew, melodja i przegrywka zmienia charakter mazurowy na tok płynnéj melodji, miéjscami smętnéj to znów weselszéj w miarę treści słów opiewających cudne rozkosze wiosny. — Muzyka napisana wcale udatnie, umiejętnie nawet, zaleca dobrze młodego kompozytora, ale główna wina tekstu, najprzód dla tego że brak natchnienia poetyckiego nawet pod wpływem wiosny; zdarzają się tu porównania niezrozumiałe jak np. *Nilskich błoń*, albo wprawia w ambaras kompozytora w miéjscu: *Aleć dusza to nie głaz*, gdyż śpiewając wychodzi, że albo dusza tonie — albo tonie głaz; unikanie podobnych dwuznaczników językowych jest koniecznem dla librecisty.

Lara opera w 3ch aktach *Maillarta* słowa polskie przekładu Matuszyńskiego.

Nr. 1. *Kabaletta. Chwila szczęśliwa* . . . . . . Złp. 2.
„ 2. *Romans*: *Wspomnień rój* „ 2—15.
Nr. 3. *Pieśń arabska*: *Gdzie cieniem darzą* . . . Złp. 3—15.
„ 4. *Kawatyna*: *O! rzuć w tym śnie* . . . . . . „ 2—15.
„ 5. *Romans*: *Świętą mi wola twa* . . . . . . „ 1—15.
„ 6. *Wyjątki na fortepian*, ułożone p. Quatriniego „ 6.

Ta opera niedawno przedstawioną była na tutejszéj scenie, ale nie tu miéjsce rozbioru szczegółowego jéj muzyki, powiemy tylko, że te wyjątki należą do najlepszych ustępów — układ zaś fortepianowy odznacza się przystępnością i wyborem tematów najudatniejszych.

Dwa Krakowiaki na fortepian ułożone przez A. Kratzera, Nakładem Friedleina, Złp. 2. Krakowiaki.... każdy powie znane to rzeczy, a jednak dla naszego serca mają tyle zawsze uroku, że w jakimkolwiek układzie się zjawią z przyjemnością powtarzają się. Znamy innych kompozycyj Kratzera dosyć, a zawsze z nich wieje duch swojski i to są główne cechy jego prac.

Na kamieniu kamień, 12 krakowiaków na cztery ręce ułożonych na fortepian przez Adama Gross. Złp. 5.

Polonez ułożony na 4 ręce przez tegoż. Złp. 2. Nakładem Stanisł. Arcta w Lublinie.

Dobrego układu czteroręcznego krakowiaków dotąd nie posiadaliśmy, ten zaś jest przystępnie bardzo ułożony, tak że go miernych nawet sił uczniowie odrazu powinni odegrać, wprawdzie mogą im czasem przeszkadzać bemole w niektórych miejscach, za to otrzymają drugą korzyść, bo wprawę w czytanie nót. Układ pełen rozmaitości, czysto harmonjowany, a nawet ostatni krakowiak bogaciéj i suciéj ułożony od innych. *Polonez* znowu, już samym rytmem swym i tokiem daje kompozytorowi więcéj materjału do świetności, a choćby i skromniéjszy rozmiarem, zawsze wdzięcznie wychodzi. I tego ustępu układ zaleca się przystępnością, potoczystością melodji. Znane nam są niektóre prace tegoż autora w rękopiśmie jak *Rusałka* Mickiewicza, Ustęp z Maryj Malczewskiego, wszystkie noszą na sobie właściwą im cechę oryginalności.

Msza „z odgłosem“ na chór czterogłosowy mieszany z towarzyszeniem kwartetu lub organu przez R. Zientarskiego. Złp. 5. Nie posiada wprawdzie podniosłości ducha i formy właściwéj wielkim kompozycjom kościelnym. Msza ta jest przeznaczoną dla użytku prowincyonalnego i dla tego wprowadzone tam są różne ułatwienia, to kwartet może grać, to sam organ z chórem lub bez, a wszystko idzie *unisono*, zatém ułatwia drogę siłom amatorskim. Są ustępy mniéj odpowiednie ale jest i wiele dobrych, a w każdym razie daleko lepszych od dawniejszych prac autora. — Msza ta może być bardzo użyteczną dla życzących sobie urządzić muzykę kościelną mniejszemi siłami miejscowemi i jako taka poleca się.

Adolf Bogucki.



Ubiory na głowę według wzorów z magazynu pani Adeli Hoffmanowéj.

Nr. 1. Ubranie z czarnego aksamitu naszyte w odstępach jak oznaczono, białemi kryształowemi grubemi rżniętemi paciorkami. Wygląda ślicznie, szczególniej na błąd włosach, w wieczór zaś śni się jakby przetykane djamentami; cena złp. 38. Końce s tyłu wiążą się najpiérw pod kokiem, a potém w kokardę na koku.

Nr. 2. Czepeczek z białéj jedwabnéj koronki i wstążki błękitnéj z brzeżkiem z białéj frendzelki. Wstążka fałdowana stanowi oszycie wraz z koronką. Końce z tyłu mogą się zarówno wiązać z lekka z przodu, ponad niemi idą drugie końce spuszczone ze wstążki.

O UBIORACH.

Widziałyśmy w magazynie pani Adeli Hoffmanowéj piękną białą suknię z nowego wyrobu wełnianego, zwanego *poil de chevre*. Tkanina ta ma kolor

i świetny połysk jedwabnéj materji i doskonale ją zastępuje. Suknia wyżéj wspomniana miała spódnicę długą powłoczystą, stanik gładki, spięty na duże białe kryształowe guziki, w miejscu zaś paska szeroką białą jedwabną szarfę. Mówiła nam pani Adela, że wiele staników robi się obecnie mocno bardzo wyciętych od pleców i przodu (échancré) tak, aby z pod nich wychodzić mógł drugi stanik pod szyję z materji odmiennego koloru, stosownego do wystroju spódnicy i rękawów, białego muślinu lub koronki, co bardzo strojnie wygląda. Pokazywała nam także modelik paryski kapelusza *empire*, stanowczo przyjętego na zimę. Jest on wcale ładny, lecz wymaga umiejętnéj ręki, albowiem przekształciwszy formę, łatwo go śmiesznym uczynić. Rondko nie wielkie zachodzi trochę po nad czoło; główka z denkiem mniéj lub więcéj wycięta, według objętości włosów osoby, która ją ma nosić, ma już u spodu karczek maleńki, co dowodzi, że ten rodzaj ozdoby znów wejdzie w modę. Najnowsze materje na zimowe kapelusze będą *étoffe filet* gruba materja z dwóch krzyżowanych nitek, w odmiennych kolorach i plusz fioletowy przerabiany na srebrnéj nitce. Kolory najmodniejsze do wielkiego stroju mają być *bouton d'or* (żółtych kwiatów jaskru) *Regina* (mocno różowy) i *feu* (płomienisty) ten ostatni ma być najwięcéj mieszany z czarnym. Atłas czarny daremnie chciano wprowadzić w modę, mówią że przedsięwzięcie to nie udało się z przyczyny, że suknie atłasowe zgrubiają figurę osoby, która je nosi. Piękne kolorowe pasy w różnych cenach i kolorach wiązane z boku na wzór dawnych polskich, używane są bardzo, do każdego z nich jest drugi mniejszy tegoż samego deseniu i barwy, który być może użyty jako krawacik, lub też jako ubranie na głowę z dodatkiem czarnéj koronki.

O sposobie noszenia włosów nic nowego obecnie powiedzieć nie możemy; zostawujemy to do następnego poszytu, albowiem pan Koch, który wyjechał za granicę w celu zaopatrzenia magazynu swego w najświeższe modele, obiecał nam za powrotem udzielić w tym przedmiocie wiadomości i rysunków czesania.

Zwiedziłyśmy w tych dniach pracownią pani Grzywińskiéj, o któréj założeniu wspomniane było obszerniéj w dodatku do 14 poszytu Kółka. Oglądałyśmy tam roboty, których wykończenie nic do życzenia nie pozostawia, jako to suknie: z popielatéj popeliny jedwabnéj z wystrojem na rękawach staniku i spódnicy wycinanéj u dołu w zęby z błękitnego *poult de soie*, muślinową w drobny rzucik lila na tle białém ze stanikiem bluzkowym wyciętym czworograniasto (carré) bez podszewki, do wkładania na stanik płócienny lub perkalowy, z kanzutką zakończoną końcami tworzącemi szarfy spadające z tyłu. Suknię tybetową koloru *marron*, ubraną czarną pasmanterją i guzikami z czarnéj lawy. Czarną *poult de soie*, przystrojoną stalą, czarną z alpagi, ubraną aksamitkami i kilka innych mniéj lub więcéj strojnych, których cena od roboty wynosiła od złp. 10 (spódniczka z paletocikiem) do złp. 12 i rs. 2, stosownie do mniéj lub więcéj pracowitego wystroju. Widziałyśmy tamże bardzo zgrabnie zrobione okrywki, paletociki korcikowe równie jak bieliznę pięknie i niedrogo uszytą. Pani Grzywińska obecnie bardzo małą zadawalnia się korzyścią, starając się jedynie zyskać na ilości powierzanych jéj robót. W tym celu przyjmuje wszelkie obstalunki nawet robót szydełkowych, czepeczków, stroików i kapeluszy, mając u siebie osobę, która poprzednio pracowała w jednym z pierwszych tutejszych magazynów. Podejmuje się obstalunków kapeluszy, poczynając w cenie od zł. 20 aż do ośmdziesięciu, i widziałyśmy takowe bardzo [zgrabnie wykończone. Przyjmuje także dane na kapelusze materjały nowe lub używane. Toż samo ma miejsce z czepeczkami i stroikami na głowę, które wyrabiają się tam na wzór najświeższych własnych modeli, lub też modeli

wybranych do upodobania na rycinach modom poświęconych. Zakupiona w tych dniach do tego zakładu machina do szycia, niezadługo dopomagać będzie do spiesznego wykończenia robót i dozwoli podejmowania się większéj ich ilości, uczennice zaś będą mogły również pobierać naukę tego rodzaju szycia, które wcale tak łatwém nie jest jak się to wydawać może z pozoru. Aby wielce pożyteczny zakład pani Grzywińskiéj mógł się nadal rozwinąć, potrzebuje poparcia ogółu. Ogół u nas zwyczajnie z początku każdą nowość chciwie chwyta, a wkrótce uprzykrzywszy ją sobie porzuca. Mamy jednak nadzieję, że tą razą, znajdując rzeczywiste korzyści tak w starannie, prędko i tanio wykończonych robotach, równie jak i w nauce za tak nie wielką opłatą pobieranéj przez młode osoby, panie nasze zechcą przyjść w pomoc stale pani Grzywińskiéj, pamiętając, że jedynie od ich współdziałania żależy dalszy los jéj pracowni i że grzechem by było niepopierać pięknéj i pożytecznéj dla nas myśli, przez obojętność lub zapomnienie.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Zatrudnienia ogrodnicze w miesiącu Wrześniu.

Kapustę zimową, w Sierpniu zasianą t. j. białą i czerwoną kapustę zimową i włoską zimową, przesadza się w ostatnim tygodniu bieżącego miesiąca.

Zbiór dojrzałego owocu w miesiącu bieżącym, jest głównem zatrudnieniem, przyczém przestrzegać przepisów następnych:

Wszystek owoc, mający być zachowany na czas dłuższy, np. jabłka, gruszki itp., tylko we dnie suche, zrywać ręką, lecz nie strząsać, boby owoc zgnił na składzie.

Zerwany a na potrzebę zimową przeznaczony owoc, na suchém, przewiewném i niemroźném miejscu, rzadko rozścieła się na słomie suchéj.

Po nadejściu mrozu, owoc przenieść do piwnicy; aby zaś nie nabierał owego przykrego zaduchu piwnicznego, nie na słomie go rozesłać, lecz na liściach suchych. Liście z gruszek i wiśni, a w braku tychże, wiérzbowe, olszowe itp. najprzydatniejsze, bo wierzch gładki i mocniejsza budowa ich dłuższy wilgoci stawiają opór, niż szorstkie, miękkie liście z jabłoni lub śliwek.

W ostatnim tygodniu miesiąca bieżącego, zaczyna się wszystkie rośliny krzewy i drzewa, przechowywane w szklarni, przenosić na zimowisko. Dla tego szklarnię wprzódy oczyścić trzeba i przysposobić do przyjęcia roślin. Lepiéj zaś, rośliny zanim się je wniesie, w otwartéj szopie, ale pod dachem pomieścić, aby odwykały powoli od wolnego powietrza; jeśli zaś szopy nie ma, szklarnia przynajmniéj przez dwa tygodnie, albo aż zimniejsze nastanie powietrze, zupełnie otworem stać powinna. Twardsze rośliny, np. cyprysy, mirty itp. dopiéro wtenczas, kiedy się już ma na mróz, przenoszą się do szklarni. Pilnie zaś polewać je należy.

Zbiór rozmaitych nasion kwiatowych w miesiącu bieżącym wielkiéj jest wagi.

Trwałe rośliny, które następnéj zimy mają być pędzone, obecnie zasadzić trzeba.

Wszystkie rośliny wazonowe, któreby jeszcze w gruncie pozostać powinny, poprzenosić w wazony, np. pelargonje, róże miesięczne itd.

W początku miesiąca bieżącego jeszcze rezedę można w donicach zasiać, lub zasadzić na zapas zimowy.

Tuberozy zakwitające w wazony się przesadza i na ciepłém stawia miejscu.

Gdy zachodzi obawa przymrozków nocnych pod koniec miesiąca bieżącego, georginje ziemią się obsypuje, grzędy kwiatowe obecnie uprzątnione przekopać, oczyścić z chwastu i nawieźć gnojem przetrawionym.

Konfitura z kawonu.

Część zieloną kawonu, którą odrzucamy, pokrajać w kawałki i w wodzie gotować, aż będzie można słomką przebić; wtedy wyjąć z wody napuścić sokiem z cytryny jednéj i zalać gęstym syropem z cukru, biorąc funt cukru na funt owocu. Na drugi dzień przesmażyć trochę syrop aby zgęśniał i znowu zaparzyć; na trzeci dzień zaparzywszy jak poprzednio konfiturę odlać raz jeszcze, znów syrop zagotować, wrzucić kawon i przesmażyć dobrze dodając na ostatku trochę araku.

Kwaszenie ogórków.

Płóczą się w zimnéj wodzie ogórki, kładzie się je w czystą beczkę potrząsając aby równo były i przesypując solą, liśćmi winnemi wiśniowemi, dębowemi, koprem, cebulą i czosnkiem w ząbki podzielonym; zalewa się potém wszystko wodą wrzącą osoloną. Na beczkę ćwierciową bierze się kwarta soli, ta sól i do przesypywania ogórków powinna wystarczyć, zalewa się do pełna, przykrywa krążkiem i zabija beczkę.

Śliwki, brzoskwinie lub morele.

Świeże prosto z drzewa rwane śliwki węgierki, dzikie brzoskwinie lub nie najlepszego gatunku morele, gruszki z dużego gatunku, lecz nie przejrzałe, układają się w suchych słojach i nalewają się octem przegotowanym z cukrem, biorąc proporcję funt na kwartę, oraz gwoździkami i cynamonem któremi poprzednio jeszcze utykają się poukładane w słojach owoce. Ocet ten powinien być zimny lecz zlewać go trzeba parę razy i przegotowywać by wszelka z niego wyszła surowizna i owoce dłużéj konserwować się mogły. Gdyby przy dawaniu ich do pieczystego zdawały się za ostre, należy je miałkim cukrem przesypywać.

Korniszony.

Obrane i na sucho wytarte z piasku, układają się w płaskiem naczyniu i solą się na 24 godzin, dodając do soli bardzo małą ilość saletry, trzeba je potem pomieszać kilkakrotnie, następnie wycierać na sucho z soli i sparzyć przegotowanym, lekkim, na w pół z wodą, octem parę razy, starając się by za każdym razem ocet był mocniejszy. Gdy ostygną za trzecim razem wyjmują się z octu, układają się na sita lub przetaki i gdy osiękną i oschną, kładą się w suche szklanne słoje, przekładając po trochu estragonem. Nalewają się potem świeżym mocnym, z korzeniami przegotowanym octem, już ostudzonym, tak przyrządzone, zachowują się dobrze; pęcherzem zawiązane i wstawione w piwnicy, są długo jędrne i zielone.

Grzyby, rydze lub pieczarki.

Dobrze opłókane grzyby, rydze lub pieczarki, gotują się w mocno osolonéj wodzie, dopóty aż się prawie zupełnie wysadzą, wyjmują na sita lub przetaki, a gdy obeschną, układają w suche szklanne słoje i nalewają ostudzonym octem przegotowanym z korzeniami i zalewają oliwą z wierzchu.





Thirifocq Editeur

313.

Imp. Becquet, Paris.

KÓŁKO DOMOWE

Miesiąc Październik,

1865.